

Na samym początku...

W maju 1965 r. w całej Europie i w Polsce obchodzono 20 rocznicę zakończenia II wojny światowej. Wydarzenia tej wojny wciąż żyły w pamięci milionów osób. Dwadzieścia lat, to z jednej strony dość długi okres czasu, niemal jedno całe pokolenie, z drugiej jednak – okropności wojny i dramatyczne wydarzenia,



które dotknęły tak wielu osób, w dalszym ciągu miały silny wpływ na bieżące życie europejskich społeczeństw. Widoczne to było zwłaszcza w krajach za żelazną kurtyną, w których najważniejszym punktem odniesienia w historii było zwycięstwo Sowietów nad faszyzmem, podkreślane i pielęgnowane na licznych akademiach z udziałem dzieci i młodzieży, ludu pracującego miast i wsi, a także w literaturze, czy w filmie. Ale było to również widoczne w wielu autentycznych, codziennych zachowaniach zwykłych ludzi. Wspomnienie wojennego głodu nakazywało dbać o żywność i zabraniało wyrzucać jedzenie do śmieci. W wielu miastach widoczne były wciąż nie odbudowane po wojnie budynki. Wygląd ówczesnej Warszawy czy Gdańska, szarych, biednych i zniszczonych miast, powoli dźwigających się z gruzów i odbudowujących swoje zabytki, daleko odbiegał od ich współczesnego wyglądu.

W Polsce na czele Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej stał Władysław Gomułka. Niepokorny pisarz Melchior Wańkowicz, który wcześniej powrócił do kraju z emigracji, został właśnie skazany na półtora roku więzienia za współpracę z Radiem Wolna Europa. W Warszawie swoją działalność inaugurował Kabaret Dudek, a pięciu młodych muzyków w znanej kawiarni CRISTAL w Gdańsku Wrzeszczu założyło zespół Czerwone Gitary. W tym samym roku Jacek Kuroń i Karol Modzelewski opublikowali swój „List otwarty do członków PZPR”, w którym poddali krytyce obowiązujący od października 1956 r. model funkcjonowania państwa. Do Polski przyjechał I sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Leonid Breżniew, aby podpisać kolejny układ o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy. W Gdańsku odsłonięto pomnik Jana III Sobieskiego, który przez wiele lat stał we Lwowie, ale po przyłączenia Lwowa do ZSRR został w 1950 r. przekazany polskim władzom. O ten atrakcyjny wizualnie pomnik starały się różne miasta, ostatecznie trafił on jednak do Gdańska, właśnie

w 1965 r. W przyszłości stał się ważnym punktem na mapie miasta, miejscem zgromadzeń tłumów i początkiem wielu demonstracji antykomunistycznych.

W środę 12 maja 1965 r. Dziennik Bałtycki na pierwszej stronie donosił o „wielkiej organizacji faszystowskiej”, która miała zamiar obalić rząd Szwecji, o sesji Gdańskiego Towarzystwa Naukowego z okazji XX-lecia Polski Ludowej, a także o powitaniu przy Nabrzeżu Francuskim w Gdyni polskiego liniowca m/s Batory, który powrócił właśnie z pierwszego w tym roku rejsu na regularnej linii do Kanady i przywiózł do Gdyni 720 pasażerów. W tym samym dniu, w gdańskim szpitalu przy ul. Klinicznej, przyszedłem na świat jako drugie dziecko moich rodziców Jerzego i Krystyny Wilkoszewskich.

Niewiele pamiętam z najwcześniejszych lat życia. Chyba najstarsze krótkie wspomnienie, jakby migawka w pamięci, wiąże się ze spływem tratwą przełomem Dunajca. Wchodząc na tę tratwę musiałem nadepnąć nogą na osę lub pszczołę. Pamiętam tylko ból, płacz, zamieszanie na tratwie i kogoś – nie wiem, czy była to mama, czy tata – kto brał mnie na ręce i pocieszał, chcąc też złagodzić ból nogi. Wydaje mi się, że w tę daleką podróż na drugi koniec Polski, z Gdańska, pewnie do Krakowa, mogliśmy się udać samolotem z lotniska w Gdańsku na Zaspie, bo drugie wspomnienie, które łączy się z uządleniem przez osę, to marsz z rodzicami po pasie startowym do samolotu. Z późniejszych opowieści mojego taty wynika, że podobno bałem się wsiąść do niego, ale wtedy tata miał mi pokazać inny samolot, jadący po wylądowaniu na pasie startowym, i wyjaśnił, że właśnie w ten sposób, nie odrywając kół od ziemi, my również będziemy jechać aż do Krakowa. To miało mnie ponoć przekonać i uspokoić. Jakiś krótki fragment tego wspomnienia tkwi mi w głowie, choć nie jestem pewny, czy to prawdziwe wspomnienie, czy tylko wytwór mojej fantazji.



Kolejne migawki wiążą się z pobytem w przedszkolu – ten krótki film w pamięci widzę już nieco wyraźniej. Jedna scena, to gdy wchodzę do sali, chyba pod dłuższej nieobecności, bo zauważam któregoś z kolegów i wydaje mi on jakiś dojrzalszy, starszy, niż gdy go wcześniej widziałem. Inny obrazek, to leżakowanie na sali, na której ustawionych jest obok siebie wiele leżaków, okna zasłonięte są kotarami, żeby stworzyć wrażenie ciemności, choć na zewnątrz jest jasno i świeci słońce. Leżę przykryty kocem wśród innych dzieci i słyszę głos opiekunek rozmawiających ze sobą w pokoju sąsiadującym z naszą salą. I trzeci obrazek – gdy cała grupa

jest w ogródku przedszkolnym, a ja stoję blisko płotu i zrywam rosnące na krzaku białe kulki, które śmiesznie pękają i całkiem dobrze smakują..

Przedszkole, do którego chodziłem, mieściło się przy ul. Czerwonego Sztandaru w Gdańsku Oliwie. Dziś ta ulica nosi nazwę Tadeusza Bora-Komorowskiego. W tym samym miejscu, gdzie było przedszkole, później przez wiele lat mieścił się Specjalny Ośrodek dla Dzieci i Młodzieży z Autyzmem założony przez Małgorzatę Rybicką, żonę Arama, tj. Arkadiusza Rybickiego. Małgorzata i Aram, znani w Gdańsku z działalności w Ruchu Młodej Polski i bliskiej współpracy z Lechem Wałęsą, mieli dziecko autystyczne. Na początku lat 90-tych nie istniały jeszcze w Polsce specjalistyczne placówki mogące pomóc w tego rodzaju przypadkach. Ośrodek działający w moim byłym przedszkolu był jednym z pierwszych, o ile nie pierwszym w Polsce, wyspecjalizowanym miejscem takiej opieki.

Do końca lat 60-tych mieszkaliśmy blisko tego przedszkola, na czwartym piętrze w tzw. wieżowcu przy ul. Czerwonego Sztandaru w Oliwie. Był to solidny budynek, który stoi tam zresztą do dzisiaj i wciąż całkiem nieźle wygląda. Mieszkanie miało trzy pokoje i wyjątkowo duże okna. Parapety mieściły się na wysokości



nieco powyżej kolan, a potem prawie aż do sufitu było okno zabezpieczone przed wypadnięciem poprzecznym prętem. Któregoś dnia usiadłem na parapecie przy otwartym oknie, pod brodą miałem ten poprzeczny pręt i zabawiałem się wyrzucaniem zabawek przez okno, uważnie obserwując jak spadają na chodnik przy wejściu do klatki schodowej. Oczywiście wzbudziło to zainteresowanie dzieciaków na podwórku, którzy skupili się wokół lądujących zabawek i co lepsze zabierali dla siebie. To ich zainteresowanie spadającymi zabawkami i moją osobą siedzącą na parapecie musiało mi się podobać, bo nie przestawałem, aż do momentu gdy dostrzegłem tatę wracającego do domu... No, nie skończyło się to dla mnie dobrze. Może dlatego utkwіło mi tak mocno w pamięci.

Jeden z trzech pokoi naszego mieszkania zajmowała Pani Krysia, nasza opiekunka. Potem mieliśmy też inne opiekunki, ale ta - jak wynika z opowieści rodzinnych - była z nami najbardziej zżyta. Nie wiem tego na pewno, bo gdyby nie zdjęcia z dzieciństwa, to nawet nie pamiętałbym jej wyglądu. Pani Krysia opiekowała się nami, tzn. mną i moimi braćmi - starszym o trzy lata Leszkiem i młodszym o dwa lata Andrzejem. Wydaje mi się, że pierwsze nasze opiekunki

organizowała nam mama. O ile wiem, były to panie z okolicznych wiosek i mniejszych miejscowości, które chciały przyjechać do pracy w Gdańsku. Pani Krysia była z nami może przez dwa lub trzy lata. Mama i tata pracowali, Andrzej i ja byliśmy zbyt mali, by chodzić już do przedszkola. Różne, zmieniające się co jakiś czas opiekunki, były stałym elementem naszego dzieciństwa. Towarzyszyły nam do czasu, aż w trzeciej lub czwartej klasie szkoły podstawowej, usłyszałem jak ostatnia z nich, starsza pani, która dorabiała sobie w ten sposób do emerytury, zaczęła krytykować za coś mamę i tatę. Już wcześniej jej nie lubiłem, a ta krytyka z jej strony spowodowała, że gdy tylko wrócił do domu tata, zacząłem na nią krzyczeć, że nie wolno tak mówić o moich rodzicach. Tata słuchał w milczeniu, potem spytał mnie o co chodzi i ostatecznie ją odprawił. To jednak zdarzyło się znacznie później, już w nowym mieszkaniu przy ul. Obrońców Wybrzeża na gdańskim Przymorzu. Byliśmy wtedy już starsi, bardziej samodzielni i jak to w tamtych czasach często bywało, chodziliśmy sami do szkoły z kluczem zawieszonym na szyi.

Drugi pokój w mieszkaniu przy ul. Czerwonego Sztandaru zajmowała mama. Odkąd pamiętam mama i tata nie mieli wspólnej sypialni. Po części było to spowodowane tym, że mama wciąż pracowała. Zaraz po powrocie z pracy siadała do maszyny do pisania i tłumaczyła z polskiego na angielski, niemiecki, lub



szwedzki. Była tłumaczem przysięgłym i stukot maszyny do pisania towarzyszył nam przez całe nasze dzieciństwo, często do późnych godzin nocnych. Tata spał z nami w trzecim pokoju. Mieściło się w nim jego łóżko oraz łóżko piętrowe, które zajmowaliśmy w trójkę. Na górze spał Leszek, a ja z Andrzejem na dole. Był jednak też drugi powód tego oddzielnego spania naszych rodziców. Tata nigdy nie planował mieć dzieci, a już na pewno nie tyle. Trzech synów to było dla niego stanowczo za dużo i stanowiło olbrzymie obciążenie psychiczne. Nie zarabiał zbyt wiele, mama zarabiała znacznie więcej od niego. Wciąż wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby jej zabrakło, zwłaszcza że mama miewała problemy ze zdrowiem. Bał się, że nie dałby rady nas wszystkich wykarmić i utrzymać. Dla mamy praca była sensem jej życia, pracowała dużo i chętnie, ale tacie wydawało się, że ona męczy się tak ze względu na dużą rodzinę i dzieci. I nie chciał już mieć żadnego więcej.